

DZIENNIK WILEŃSKI

Wydawca:
Aleksander Zwierzyński

Dodatek kulturalno-literacki

Kościuszkowski i lud Kurlandzki

Literatura historyczna Kościuszkowskiego powstania rzadko kiedy uwzględnia boje ówczesne o wolność polskiego ludu w Kurlandji. A przecież walki ludu kurlandzkiego za Polskę z wielu względów mogły zaważyć na szali, gdyby umiano wyzyskać liczebność i zapał powstańców, gdyż w żadnej dzielnicy Polski lub wiejski nie wstąpił tak licznie w szeregi armji Kościuszkowskiej, nigdzie jego odezwa do włościan nie znalazła tyle posłuchu, ile właśnie w Kurlandji, w kraju, który do dzisiejszego dnia uważa się za ziemię rdzennie niemiecką.

W 1795 roku wydrukowano w Altonie niewielką książeczkę o 47 stronicach pt.: „Die polnischen Conföderirten in Curland, ein kleiner Beitrag zu der Geschichte unseres Jahrezehends von —g.“. Bezimienny autor poświęca swą pracę „wszystkim prawdę kochającym, bezstronnym Kurlandczykom“ i przedstawia zgodnie z prawdą wypadki 1794 roku.

Powstanie Kościuszkowskie w Kurlandji było dowodem nie tylko wielkiego patriotyzmu i przywiązania do Polski ludu tamtejszego, lecz również miało znaczenie społeczne. Niemiecka szlachta kurlandzka uciskała z niebywałym barbarzyństwem lud wiejski. Pańszczyzna w Kurlandji przedstawiała się jak istne piekło na ziemi. Polski też lud wiejski, który tam osiadł od wieków, pokrewny wielce Mazowszu, skorzystał ze sposobności i stanął do walki, by wyrzucić ze swej ziemi tyranów

O ile lud wiejski okazał się w walce niebywale bohaterskim i ofiarnym, o tyle ówczesny książę kurlandzki i szlachta zachowała się bardzo tchórzliwie i oddawała się raz po raz w opiekę Rosji. W chwili wybuchu książę ograniczył się do wydania zakazu sprzedawania broni i amunicji Polakom i z wielkim gronem szlachty wyjechał. Okazało się jednak że długowiekowe tłumienie ruchu narodowego w Kurlandji nie osiągnęło celu. Lud wiejski i miejski tłumnie łączył się z powstańcami. Już 23 maja 1794 r. stu konnych powstańców stanęło pod Libawą pod komendą Mirbacha, Kurlandczyka. Miasto Libawa liczyło wówczas około 4.000 mieszkańców, nie licząc załogi książęcego zamku. A jednak mała garstka powstańców opanowała szybko miasto, rozbroiła książęcą załogę i odesłała ją pod konwojem do Wilna. Wiele mieszkańców Libawy wstąpiło w szeregi polskie, miejscowy adwokat Rucen, objął obowiązki generałowego adjutanta, magistrat zaś libawski ofiarował powstańcom 2 armaty, 2.000 karabinów i pistoletów, pewną ilość ołowiu i prochu, a prócz tego gotówką 7.000 talarów albertyńskich. Powstańcy odsta-

wili wszystkie te dary wraz z pieniędzmi do Warszawy.

Sily powstańców rosły z każdym dniem i już w krótkim czasie wzrosły do 30.000 żołnierza. Do powstania zgłaszało się wielu mieszkańców aż z pod Kowna i lud wiejski szedł pod broń z własnej woli prawie bez wezwania.

Książę kurlandzki prosił o pomoc Rosję. Lud jednak więził kurjerów, przejmował pocztę i oddawał ją powstańcom.

Dowódca powstańców Mirbach objął władzę w Libawie i wezwał ludność do złożenia przysięgi na wierność Polsce. W odezwie powołał się na rozkaz Kościuszkowski. Autor historii tego powstania przytacza ciekawe wydarzenia w tym czasie, które dowodzą, że Niemczenie nazwisk polskich, nie zniemczyło duszy kurlandzkiej, a nazwisko Kościuszkowski wywoływało niezwykle zapał.

W czasie przysięgi przystąpił do Mirbacha kapitan pruski Heucking.

— Co mam czynić? zapytał.

— Przysięgać! odparł krótko Mirbach.

— Dobrze, rzekł Heucking. Ale kto was do tego upoważnił.

Mirbach pokazał mu wówczas rozkaz z autentycznym podpisem Kościuszkowskiego. Heucking złożył natychmiast przysięgę.

Rząd polski zamianował Mirbacha generałem - majorem i powierzył mu władzę naczelną w Kurlandji. Obok niego walczyli generał - porucznik Wojkiewicz, gen. por. Mysłowski i gen. por. Wawrzecki i Nagurski. Rada Najwyż-

sza Kurlandji, obejmując rządy, uwolniła natychmiast chłopów od pańszczyzny i uroczyście spaliła bat na rynku Libawy. Autor broszury podnosi że powstańcy zachowywali dobrą dyscyplinę w Libawie, za każdą dostawę żywności lub innych towarów płacono natychmiast gotówką i za ich rządów nie zanotowano ani jednego gwałtu nawet w stosunku do Niemców.

Książę kurlandzki uzyskał jednak pomoc od Rosji i pułkownik Kastajnow zbliżał się do Libawy na czele 8.000 żołnierzy. Kościuszkowski rozkazał wówczas powstańcom cofnięcie się w głąb Polski, co nastąpiło w nocy z 10 na 11 lipca.

Moskale zajęli Libawę, nałożyli na miasta i wsie wysoką kontrybucję i mściłi się na ludności z niebywałym barbarzyństwem. Ludność miejscowa zasilala jednak ustawicznie szeregi powstańców, którzy nie opuszczali swego kraju i oddziały powstańcze ukazywały się bez przerwy pod Libawą.

Wreszcie dnia 24 lipca powstańcy zbliżyli się do Libawy w sile tylko 1.300 ludzi. Bitwa pod Libawą trwała kilka dni ze zmiennym szczęściem dla powstańców, gdyż pułkownik Poniatowski spałniał się z pomocą. W końcu jednak wyparto Moskali z miasta i pułkownik Kastajnow zginął w bitwie. Moskale, opuszczając Libawę, mordowali bezbronnych mieszczan i podpalili miasto.

Mirbach ogień ugasił i objął władzę. Powstańcy, mszcząc okrucieństwo księcia kurlandzkiego spustoszyli jego majątności w Allschwangen i dobytek tam

uzyskany, zwłaszcza żywy inwentarz i żywność wysłali na Litwę.

Niestety niedługo potem wojska rosyjskie zagroziły Wilnu i powstańcy musieli wycofać się powtórnie z Libawy do Polski.

We wspomnianej książeczce czytamy, że ludność kurlandzka żegnała powstańców ze łzami w oczach i z rozpaczą w duszy. Wiedziała że traci wolność i swobodę na długie lata. I rzeczywiście Kurlandja przeżyła potem niebywały ucisk, graniczący z martyrologją. A o tych strasznych przeżyciach Kurlandczyków, o metodach germanizacji, o strasznym prześladowaniu tej ludności nie wspomina się prawie w dziejach porobiorowej Polski. Chyba może gdzieś w zakątku w zapadłej wsi kurlandzkiej wspomina o tych strasznych czasach niejeden starzec, gdy się lud zgromadzi w zimowy wieczór przy ognisku albo przy kądzieli.

Rzadko gdzie chłop polski okazał w czasie rozbiorów tyle wierności Polsce tak wiele męstwa, odwagi i rozumu, jak w Kurlandji, którą nawet Polacy nie obejmują swą pamięcią. Pamięć o tem przechowuje nam książeczka bezimiennego autora, zupełnie nieznaną i zapoznaną dowód teźyzny polskiego ludu, która może kiedyś przyczyni się do tego, że lud kurlandzki, zniemczony do gruntu, przypomni sobie wierność swych pradziadów Polsce, a nemezis dziejowa wróci ich na łono ojczyzny i oczyści ich dusze z obcych naleciałości

Dr. J. S.

Teatr chiński

Z okazji wystawienia w Londynie starego dramatu chińskiego „Pani Drogocenny Strumyk“, o którym swego czasu niniejszy dodatek zamieścił artykuł, S. I. Hsiung, tłumacz tej sztuki na angielskie, podał gazetom szereg informacji o teatrze w swej ojczyźnie.

Jego początki gubią się w pomroce wieków, a wiadomo, że Chińczycy są bardzo konserwatywni. Repertuar obejmuje kilkaset dawnych utworów. Przechodzą one z pokolenia w pokolenie w ustnej tradycji, gdyż każdy szanujący się aktor powinien być umieć je na pamięć. Stąd poszczególne wersje różniły się między sobą — zwłaszcza, że dialog urozmaicano improwizowanymi ustępami. Próby były wyjątkiem i gdy spotykali się artyści, należący do różnych trup, porozumiewali się często, postanawiając, że część przedstawienia będzie improwizowana. Natura nie było to możliwe tylko przy mniej znanych utworach. Dopiero od niedawna istnieją drukowane egzemplarze dramatów.

Za Szekspira grali role kobiece młodzi chłopcy. W Chinach były aktorki

już od czasu dynastji Tang (618—905 po Chr.), ale tworzyły osobne trupy. Tym sposobem wszystkie role grali mężczyźni lub wszystkie kobiety. Dzisiaj bardzo powoli wprowadza się inną praktykę, ale konserwatywni Chińczycy wolą często, aby amantkę grał stary aktor o pomarszczonej twarzy, niż dwudziestoletnia dziewczyna. Często próbują teatry oryginalnego efektu. Role bohatera powierza się mężczyźnie, który stale grywał kobiece role, główną rolę kobiecą aktorce, która grywała tylko mężczyzn. Jeżeli są to sily wybitne, sala bywa przepelniona i publiczność rozkoszuje się wysiłkami obojga, aby wrócić do właściwych swej płci ruchów i sposobu mówienia.

Dekoracyj teatr chiński nie posiada zupełnie, nie posiada też rekwizytów. Gdy aktor wywija biczem, jest dla widzów jasne, że jedzie na koniu, a rzecz dzieje się pod gołem niebem. Gdy czytają ruch otwierania drzwi, trudno nie zgadnąć, że jest w sali. Gdy aktorka ma w rękach igłę i nici, najwidoczniej szyje w swoim pokoju — itp.

Osobliwością teatru jest człowiek,

którego można nazwać rekwizytem. Chodzi on po scenie w codziennym stroju i nikogo to nie raz. Gdy aktorowi z roli wypada usiąść, podbiega z krzesłem; gdy klęknąć, z poduszka; gdy umrzeć, chwytą padającego na ręce.

To jeszcze nie wszystko. Dba on także o osobistą wygodę grających. Przed długą tyradą lub po niej podaje filiżankę gorącej herbaty. Podczas upałów wachluje aktorów, pocących się w ciężkich kostjumach.

Jeszcze jedną dziwną właściwość sceny chińskiej stanowią chłopcy, którzy dostają wszystkie małe role — bez względu na głos i wzrost. Tym sposobem widzi się niziutkich starców z nalepionym srebrzystym zarostem, którzy przemawiają cieniutkim głosikiem. Dzieci te używają kostjumów, robionych na dorosłych, muszą zakasywać rękawy, a płaszcze wloką się za nimi. Publiczność jest do tego wszystkiego przyzwyczajona i widzi w tem miłe urozmaicenie.

A. E.

Czarne królestwo w sercu Afryki

KRAJ SKRAJNYCH KONTRASTÓW

Ankara i Addis-Abeba, to dwie najmłodsze stolice na kuli ziemskiej. Jedna w głębi dzisiejszej, modernizującej się na gwałt Turcji, druga w sercu czarnego lądu, w kraju czarnych potomków Salomona i królowej Saby, w biblijnej ziemi Kusz: w Abisynji.

I tam dotarł już postęp techniki i cywilizacji: po ulicach pędzą amerykańskie, włoskie i francuskie samochody, policjant w hełmie skórkowym i mundurze khaki (nierazko jednak bosy!) reguluje ruch uliczny, stojąc na wywróconej pustej beczce żelaznej. Uliczny fotograf robi na poczekaniu zdjęcia czarnych piękności, biorąc zapłatę w egzotycznych owocach, kawie, zbożu, a wyjątkowo i w pieniądzu. Ale co to za pieniądze! Najpopularniejszą monetą obiegową są pocziwe srebrne talary z wizerunkiem... Marii Teresy. Podobno do dziś dnia mennica wiedeńska wybija corocznie pewną ilość tych talarów dla poddanych „króla królów“ Aillé Sellasié.

Idąc z postępem czasu, „król królów“ sprowadził sobie ze Szwajcarii nawet wspinały nowoczesny samolot, urządzone wewnątrz z istic królewskim przepychem. Ale nie odbył nim dotąd ani jednej podróży: duma narodowa nie pozwala mu angażować pilota obcokrajowca, a żaden z jego poddanych nie posiada jeszcze sztuki pilotowania w takim stopniu, by można mu było powierzyć sam majestat królewski.

Armja królewska uzbrojona jest częściowo w karabiny fabrykacji niemieckiej, angielskiej i włoskiej. Posiada i lekkie armaty i karabiny maszynowe. Natomiast bitne i wojownicze szczepy w głębi kraju, a zwłaszcza na północy, dotychczas — jak przed wielu wiekami — mają za całe uzbrojenie włócznie, miecze i tarcze.

A nad brzegami rzeki Uebi Scebeli posterunki graniczne nocą pełnią straż na wysokich drzewach, aby nie narazić się na niebezpieczne spotkanie z „królem pustyni“, który przychodzi tam gasić swe pragnienie.

Kraj skrajnych kontrastów, dziwna mieszanina nowoczesnej kultury i prymitywu.

STARA I NOWA STOLICA

Dzisiejsza stolica Abisynji, Addis-Abeba, jest stosunkowo dużym miastem, liczy bowiem 50 tysięcy mieszkańców. Rozwój i wzrost jej idzie równolegle z upadkiem dawnej historycznej stolicy Gondar, która dziś spadła do roli małej miasteczki z ludnością dochodzącą zaledwie do trzech tysięcy głów.

Tam jednak właśnie, w Gondar, szukać trzeba śladów dawnej świetności i potęgi Abisynji. Położone wśród wzgórz w północnej części kraju, imponuje jeszcze dziś Gondar swoim malowniczym położeniem, swymi 44 kościołami i licznymi warownymi zamkami i basztami, pochodzącymi jeszcze z czasów okupacji kraju przez Portugalję.

Tam ujrzyć można charakterystyczne narodowe stroje i najpiękniejsze typy. — Gondar, — to abisyńska Mekka, to najważniejszy strażnik tradycji narodowej.

A co najważniejsze: Gondar leży w pobliżu jeziora Tsana, owego „wewnętrznego morza“ Abisynji, gdzie bierze swój początek Nil błękitny, by następnie użyźnić niezmiernie obszary plantacji bawełny w angielskim Sudanie.

Jezioro Tsana — „klucz górnego Nilu“, oczko w głowie monarchy, a przedmiot gorącego pożądania potężnych białych sąsiadów: Anglików, Włochów i Francuzów, co zwartym pierścieniem otoczyli to — jedynie na czarnym kontynencie — niezawisłe państwo, odcinając mu zupełnie dostęp do morza...

I nie pomylił się twierdząc, że właśnie owo jezioro Tsana było jednym z momentów, które wpłynęły na decyzję przeniesienia stolicy do Addis-Abeba.

W Gondar bowiem rezydował dawniej

Ras Ailu, władca krainy Goggiam i Amhara, wódz licznych szczepów, uważający się za króla samodzielnego, a sympatyzujący wyraźnie z „białymi“, przedewszystkiem z Włochami. (Jeden z jego synów mieszka obecnie w Rzymie, gdzie kończy studia, pod czułą opieką rządu włoskiego).

Ras Tafari, obecnie król Aillé-Sellasié, nie mógł patrzeć spokojnie na tego konkurenta, który usadowił mu się pod bokiem, a który miał w swym ręku dostęp do jeziora Tsana. Toteż, kiedy w walce między obecnym władcą Abisynji, a buntownikiem, ex-małonkiem poprzedniej królowej, Ras Ailu zachował „neutralność“, nie stając wraz ze swymi wojownikami po stronie prawowitego władcy, — Aillé Sellasié, po rozgromieniu buntowników, złożył go z tronu, powierzając rządy jego synowi, pod opieką i kontrolą swoich zaufanych ludzi.

Dalszą konsekwencją było przeniesienie stolicy do Addis-Abeba, dzięki czemu Gondar straciło wszelkie znaczenie i nastąpiła pewnego rodzaju konsolidacja kraju, przy skupieniu całej władzy w jednym ręku.

OAZA CHRZEŚCIJAŃSTWA

Mieszkańcy dawnej Etoppii, a dzisiejszej Abisynji są w olbrzymiej większości chrześcijanami. Religia ich posiada pewne odrębności i naleciałości innych kultów i przyczyniła się do wytworzenia pewnej odrębnej kultury, odróżniającej Abisyńczyków od otaczających kraj innych plemion, przeważnie wyznawców Mahometa.

Zanacza się to najwyraźniej w sztuce: malowidłach, rzeźbach i w architekturze, przypominających sztukę staro-

zantyińską. Te cechy charakterystyczne spotykamy nawet i u współczesnych malarzy, wśród których najwybitniejszym i najbardziej znanym jest Baladio Imar. Obrazy jego, to oryginalne połączenie prymitywu ze starą szkołą koptyjsko-bizantyińską, przy zupełnie nowoczesnej technice.

Jak już wspomniano, Abisynja jest prawdziwą oazą chrześcijaństwa wśród napół dzikich, pogańskich lub mahometańskich plemion, otaczających ją dookoła.

Moment ten starają się zrećnie wyzyskać Włosi, których kolonie Eritrea (od półn. wschodu), Somali i Oltregiuba (od połudn. wschodu), odcinające Abisynję od Oceanu Indyjskiego, zaludnione są przez mahometan.

I jeżeli pisma włoskie prorokują nieunikniony zalew Abisynji przez fale Islamu, to trzeba dodać, że zalew ten równałby się penetracji Włoch w głąb tego kraju, który w historii współczesnych Włoch zapisał niejedną krwawą kartę, aż do pamiętnego pogromu pod Adua, dnia 1-go marca 1896.

Bo Abisynja, to naprawdę smaczny kąsek. Kraj bardzo słabo zaludniony (12 milj. mieszkańców na przestrzeni 900 tysięcy km. kw.), obfitujący w niezmiernie bogactwa naturalne, dotąd w bardzo małym tylko stopniu eksploatowane. Złoto, kość słoniowa, kawa, bydło, zboże, bawełna, to najważniejsze artykuły eksportowe.

Nie tak to dawno temu, bo w r. 1928 wspomniany wyżej Ras Ailu, goszcząc u siebie włoskiego podróżnika bar. Franchetti, pokazywał mu swój skarbiec, gdzie

długim rzędem stały worki, napelnione po brzegi bryłami szczerzego złota, wydobywanego prymitywnym sposobem z łożyska rzeki!

Nie dziw tedy, że dzisiejsze imperjalistyczne Włochy pożądliwym okiem spoglądają na swego czarnego sąsiada, bogatego, a niezawisłego, że chętnie widzieliby połączenie swych kolonii Eritrei i Somali kosztem Abisynji. A jezioro Tsana i źródła błękitnego Nilu, to także ważny, pierwszorzędny atut.

„ZÓLTE NIEBEZPIECZENSTWO“ NA CZARNYM ŁĄDZIE

Wchodzi tu w grę jeszcze jeden, nieprzewidziany moment. Już od szeregu lat, jak zwykle po cichu, systematycznie, krok za krokiem, zdobywa w Abisynji coraz silniejsze wpływy — Japonja.

Zaczął się to od uzyskania koncesyj na założenie wielkich plantacji bawełny. W ślad zatem poszły dostawy nowoczesnej broni i amunicji, budowa lotnisk przez japońskich techników — i wreszcie kolonizacja Abisynji przez synów kraju Wschodzącego Słońca.

Kolonizacja ta widziana jest bardzo przychylnie przez władcę Abisynji i jego doradców, którzy marzą o wytworzeniu jakiejś nowej rasy etjopsko-japońskiej, łączącej w sobie bitność i dzielność fizyczną czarnych z inteligencją i niespożytą energią złotych.

Wszystko to napawa poważnym niepokojem państwa kolonialne, bezpośrednio zainteresowane, a przedewszystkiem Włochy. Toteż strzały, które padły pod Ualual (gdzie właśnie Japończycy wybudowali niedawno nowoczesne lotnisko) odbiły się najgłośniejszym echem... w Tokio.

(kr.)

Najtańsza książka w literaturze polskiej

Niedawno na tem miejscu omówiono sejmowe wydanie „Pana Tadeusza“ ze wstępem prof. Pigońa. Tekst opracował senior polonistów lwowskich prof. dr. Wilhelm Bruchnalski, który, przed czterema laty z powodu przekroczenia granicy wieku przeszedłszy na emeryturę, zakończył swoją działalność na katedrze literatury polskiej w Uniwersytecie J. K. lecz wznawia ją obecnie jako profesor honorowy naszej Almae Matris. I zdrowie jego które niedomagało dłuższy czas po ustąpieniu z placówki naukowej, polepszyło się w bieżącym roku o tyle, że przewodniczy znowu na posiedzeniach Wydziału Filologicznego Lwowskiego Towarzystwa Naukowego, ku wielkiej radości przyjaciół i uczniów swoich. Żywo tkwi mi w pamięci owacja jaką mu urządzono w czerwcu br. podczas otwarcia „Wystawy Stulecia Pana Tadeusza“ w Zakładzie Narodowym im. Ossolińskich. Zasłużył sobie w całej pełni na te szczerze dowody uznania kilkunastoletnią pracą na polu naukowym.

Imię jego związało się na zawsze z opracowaniem tekstu „Pana Tadeusza“ i wydaniem tego arcydzieła literatury polskiej w instytucji tak zasłużonej dla rozwoju ruchu umysłowego b. dzielnicy austriackiej. Mam na myśli „Macierz Polska“, powołaną do życia przez J. I. Kraszewskiego i jej popularną edycję „Pana Tadeusza“ (r. 1888) opracowania prof. W. Bruchnalskiego. Było ono po tak niskiej cenie, że stało się „najtańszą książką w literaturze nie tylko polskiej, ale nawet europejskiej, że ziściło marzenia Poety, aby kiedyś jego „księgi zbłądziły pod strzechy“.

O tej w plan bogatej placówce duchowej działalności i tej najtańszej

książce chce skreślić słów parę, korzystając z uprzejmego pozwolenia czcigodnego profesora. „Macierz Polska“ rozpoczęła swą działalność właściwie w maju 1882 r., po zatwierdzeniu przez Namiestnictwo we Lwowie, jako instytucja, której zadaniem było szerzenie oświaty ludowej zapomocą rozpowszechnienia dobrych książek po cenie jak najprzystępniejszej. Wnet potem w r. 1886 powstało również we Lwowie Towarzystwo Literackie im. Adama Mickiewicza, które w rok później wpuściło w świat pierwszy rocznik swego „Pamiętnika“, pozycję nowostworzoną i bardzo ważną w bibliografii polskiej. Powstanie tych placówek było możliwe dzięki rozwijającej się stopniowo od ery konstytucyjnej wolności politycznej i swobodzie telegrafowania życia kulturalnego, jaka cieszyła się była Galicja jedynie spośród zabiorów.

Ponieważ równocześnie od r. 1886 wszystkie dzieła Mickiewicza ogłoszone drukiem, a przedewszystkiem „Pan Tadeusz“ stały się własnością narodu, zaczęła się w następstwie tego szerzyć wśród najszerszych warstw społeczeństwa znajomość dzieł poety towarzysząca mu potrzeba oraz to nowych wydań pism poety. Potrzeba ta wyznaczała sobie dwa cele: po pierwsze popularyzowanie ich możliwie daleko idące wśród warstw niezamożnych przez tania edycję; po drugie dążenie do stworzenia dobrych wydań krytycznych z odpowiednimi objaśnieniami. W tym kierunku szła praca T-wa Literackiego im. A. Mickiewicza.

Tej ogólnie odczuwanej potrzebie postanowiła zaradzić „Macierz Polska“. Sekretarz jej, Władysław Belza, porozumiał się z prof. Bruchnalskim zaraz w początkowych latach jej istnienia i

zapropozował na posiedzeniu rady nadzorczej wydanie „Pana Tadeusza“ po możliwie niskiej cenie. Wykonawcą planu miał być prof. Bruchnalski. Rada nadzorcza potwierdziła tę propozycję swoją uchwałą. Redaktorowi wydawnictw udzielono wskazówek bardzo ogólnych: objętość wydania mogła niewiele wykraczać poza 20 arkuszy druku, wydanie miało być gotowe do roku 1888. Tytułem honorarium przyznane wydawcy 25 złotych reńskich (późniejszych 50 koron), z którego miał nadto opłacać kosztą trzykrotnej przesyłki korekty do drukarni Władysława Anczyca w Krakowie, gdzie wedle umowy z Kraszewskim drukowały się wydawnictwa „Macierzy“.

Sprawę przygotowania edycji przeniesiono następnie na posiedzenia Towarzystwa Literackiego im. A. Mickiewicza. Za podstawę tekstu poematu przyjęto ostatnie wydanie, dokonane za życia poety, tj. edycję paryską 1844 r. przy pomocy, jeśli się okaże konieczną, I. wydania z r. 1834. Ortografię tekstu należało dostosować do gramatyki A. Małeckiego, modernizując piśmiennictwo Mickiewicza tylko w nielicznych przypadkach. Objasnienia, jaknajbardziej treściwe, miały się ograniczyć do imion własnych osób i miejscowości, faktów historycznych i innych rzeczy, wymagających z jakiegokolwiek względu wytłumaczenia.

W lipcu 1888 r. ukazało się to wydanie w druku, ozdobione portretem wieszczki, kompozycji Tepy, w trójkątnej postaci: książka broszurowana za 10 centów waluty austr., półtwardo oprawa za 18 ct. i oprawa w całe płótno 24 ct. Przy każdej sposobności „Macierz“ podkreślała, że nie myśli o zyskach pieniężnych, ale raczej o korzyściach moralnych. Usławianiam tak

niskie ceny popularnego wydania „Pana Tadeusza”, Macierz Polska pragnęła, aby nawet pod strzechy wiejskie mogło dostać się piękno wielkiego poematu i zagościć wśród nich na długi przeciąg czasu.

I nie zawiodła się w swoich nadziejach ta kulturalna placówka. Już w grudniu 1888 pokazało się, że pierwszy nakład w liczbie 15.000 egzemplarzy wyczerpał się. Dokonano zaraz drugiej edycji stereotypowej w ilości 20.000 egz. Podczas uroczystego złożenia zwłok wielkiego wieszca w podziemiach królewskich na Wawelu 4 lipca 1890 roku, rozdano między właścicieli 1000 egzemplarzy tej epopei.

W ciągu trzech lat 1888, 1889 i 1891 rozszedł się „Pan Tadeusz” w 40.000 egzemplarzy. Nakład zwiększał się dalej corocznie o kilka tysięcy, tak, że w roku 1895 rozszła się szósta dziesiątka tysięcy egzemplarzy. Było to najlepszą wskazówką, że wśród arcydzieł literatury polskiej istnieją takie, których spopularyzowanie należy uważać za prawdziwą potrzebę oświaty szerokich warstw ludowych.

Uroczystość drugiego pogrzebu wzmogła ruch w „Macierzy” ze względu na znaczenie Mickiewicza. Podobna chwila powtórzyła się w roku 1898 podczas obchodu setnej rocznicy urodzin wieszca. „Macierz” przygotowała wówczas tanie (bo za 10 ct.) wydanie w jednym tomie „Pism poetycznych” Mickiewicza, który objął „Grażynę”, „Ballady i romanse”, oraz inne wiersze wybrane. Wraz z wydanym poprzednio „Panem Tadeuszem” był to jakby kompletny Mickiewicz dla najszerszych mas.

Do stycznia 1899 r. Macierz ogłosiła drukiem 125.000 egz. dzieł Mickiewicza, oraz dotyczących życia i działalności poety, wśród nich samego „Pana Tadeusza” 80.000 egz. Stał on się jakby biblią poetyczną polskiego narodu. O takiej liczbie wydania jednego poematu nikt przedtem u nas nie marzył. Dawne płyty stereotypowe uległy zniszczeniu. Trzeba było pomyśleć o przygotowaniu nowej edycji, którą znowu powierzono prof. Bruchnalskiemu. Po dokonaniu niektórych poprawek w tekście, redaktor rozszerzył znacznie objaśnienia. Było ich w wyd. I. 658 wierszy, w II. o 549 więcej tj. 1207 wierszy.

Z samym początkiem 20-go stulecia w roku 1901, liczba wszystkich nakładów wynosiła już 100.000 egz. W pięćdziesiątą rocznicę zgonu wielkiego poety dostał się do rąk stu pięćdziesiątych tysięcy egzemplarzy. Potem mała stopniowo ruch wydawniczy „Macierzy” z powodu przesilenia finansowego, szczególnie w latach 1911 i 1912. Nadzieje tej pożytecznej instytucji na poprawę stosunków gospodarczych podcięła zupełnie wojna światowa, która położyła kres istnieniu „Macierzy” i pracy jej nad podniesieniem ducha polskiego w najszerszych warstwach naszego narodu.

Ustąpili też z pośród żywych zaszczytów, bezinteresowni pracownicy tej placówki, jak pierwszy prezes Rady wykonawczej, Antoni Małecki, dalej długoletni prezes „Macierzy” Władysław Łoziński, pierwszy sekretarz Władysław Bełza, który przez 12 lat bezinteresownie z wielką gorliwością pełnił swe obowiązki. Zmarł również długoletni kurator, znakomity obywatel Stanisław hr. Badeni, który bardzo się zasłużył około rozwoju „Macierzy”, jak ogólnie około oświaty i dobra narodu.

Ale w ciągu 30 lat swego istnienia „Macierz” wydała 1303.500 egzempla-

rzy różnych publikacji, z których rozszło się 1.094.234 w 213 rozmaitych książkach. Zasięg jej wpływów wydawniczych ograniczał się głównie do zabioru austr., do Królestwa niepuszczała tych wydawnictw rosyjska cenzura (zmiana w tym względzie zaszła

dopiero w roku 1902), dzielnica zaś Poznańska okazywała słabe zainteresowanie dla poczyniń Macierzy.

Najpiękniejszą jednak kartą w pożytecznej działalności „Macierzy” jest rozpowszechnienie największej epopei narodowej wśród szerokich warstw spo-

czeństwa i stworzenie z niej „najtańszej książki w literaturze europejskiej”, przez co zbudowała najpiękniejszy i najwspanialszy pomnik geniuszowi Mickiewicza.

espe.

Największy parlamentarzysta angielski

DAWNI LIBERALOWIE

Partja liberalna w dzisiejszej Anglii straciła dawną siłę i przedstawia smutny obraz organizacji politycznej, która przeżyła się i zwyrodniała. Doszło do tego wskutek licytowania się z socjalistami, wskutek panowania frazesu paucyfistyczno - kosmopolitycznego i wskutek zgubnych wpływów wielkiego kapitału. Lecz gdy około r. 1800 dawni wrogowie przeobrażali się w liberałów, partję ożywiały naprawdę wielkie idee — zniesienie niewolnictwa, reforma sądów i więzień, równouprawnienie katolików, poprawa doli szerokich mas, rozszerzenie praw politycznych na cały naród.

Najwybitniejszą postacią tego bohaterskiego okresu liberałów angielskich i w znacznej mierze twórcą ich programu był Charles James Fox. Ponieważ większość życia upłynęła mu jako przywódca opozycji, a tylko przez krótki czas dwukrotnie zasiadał w rządzie niewiele wie się dziś o nim. A przecie był to zapewne największy parlamentarzysta angielski i równocześnie nad wszelki wyraz interesujący człowiek. Z tego powodu warto za świeżo wydanym życiorysem Krzysztofa Hobhouse'a powtórzyć kilka szczegółów.

HAZARD I KSIĄŻKA

Fox był przez matkę prawnikiem Karola II, ojciec jego, pierwszy lord Holland, miał olbrzymi majątek, którego dorobił się jako płatnik generalny armji. Stanowisko to zapewniało prócz wysokiej pensji, także procent od milionowych sum, które zwracało się skarbowi nieraz po kilkunastu latach. Anomalię tę miał usunąć dopiero Burke w r. 1780.

Lord Holland był lepszym finansistą, niż wychowawcą. Gdy doszedł do przekonania, że syn za dużo czasu spędza nad książką, zabrał 13-letniego chłopca na kontynent i codziennie dawał mu po 5 gwinei na karty i ruletkę, udzieliwszy przedtem koniecznych dla gracza wiadomości. „Możesz sobie to przegrać, rozerwij się trochę”. Skutek był łatwy do przewidzenia. Karol Jakób wpadł w nałóg, z którego miała go po długich latach wyleczyć dopiero — kobieta. Przedtem jednak było mu sądzonem zostać najbardziej osławionym graczem Europy.

Wróciwszy do Eton, zaczął pośród kolegów szerzyć umiejętność faraona i bakarata, co nie podobało się bynajmniej kierownikom zakładu i dostał *consilium abeundi*. Natomiast w Oxfordzie oddał się całą duszą studjom nad klasykami, wyższą matematyką i literaturą ojczystą. Nie wyjeżdżał nawet na wakacje — tylko czasem, aby zażyć ruchu, wybierał się piechotą do Holland House. Odległość wynosiła 56 mil angielskich (90 km.), a Fox odbywał drogę w jednym dniu. Poza tym tyle czasu spędzał nad książkami, że rektor jego kolegium zwrócił mu uwagę, aby dbał o zdrowie. Wówczas młody człowiek pojechał do Paryża, gdzie z równym zapalem oddał się wielkomięskim rozrywkom.

Wrócił jednak wkrótce, aby z tą sa-

mą gorliwością, oddać się studjom. Mając lat siedemnaście, nie ustępował swoim profesorom znajomością łaciny i greki. Wyjechał zagranicę, a za powrotem mówił płynnie po francusku, po włosku i po hiszpańsku.

PARLAMENTARZYSTA

Mając lat 19, zasiadł Fox w parlamencie. Jako małoletni, nie miał do tego prawa, ale w XVIII w. niezawsze na to zważano. Były to czasy kupowania mandatów lub otrzymywania ich od partji w tzw. pocket boroughs (okręgach, które ktoś „miał w kieszeni” dzięki swojemu wpływom — podział pochodził z XIII w.).

Fox należał pierwotnie do większości, popierającej Jerzego III, ale szybko nabrał wstrętu do jego maskowanego absolutyzmu, brudnych metod, zdał też sobie sprawę z jego fatalnej polityki wobec kolonij amerykańskich. Przeszedł do opozycji. Przez lat czterdzieści miał — z wyjątkiem czterdziestu miesięcy zasiadania w rządzie — być jej wodzem.

Był mówcą Bożej łaski. Nie przygotowywał się nigdy umyślnie, może nawet nie potrafiłby przygotować mowy. Zabierał głos jakby pod wpływem nagłego natchnienia. Nie silił się na styl zbyt wyszukany, natomiast operował analogiami historycznymi. Czasem poświęcał zbyt wiele miejsca szczegółom, ale w słowach jego brzmiał ton tak głębokiego przekonania, argumentacja była tak przekonująca, że słuchano go z zapartym oddechem i czasem przeciągał w głosowaniu na swą stronę pewną część kupionej większości.

Był gorącym zwolennikiem rewolucji francuskiej, na wieść o zburzeniu Bastylji wybuchnął entuzjazmem. Na te tych sympatyj pokłócił się ze swym kolegą z opozycji i przyjacielem Burkiem, który zajął ostre stanowisko przeciw rewolucji. Nie posuwał się jednak nigdy do defetyzmu i gdy po zgonie Pitta Młodszego wszedł do gabinetu Grenville'a jako minister spraw zagranicznych, dążył do pokoju ale był za energicznym prowadzeniem wojny, ażeby uzyskać jaknajlepsze warunki.

Być może, iż byłby odegrał większą rolę polityczną, gdyby nie nienawiść, jaką ścigał go Jerzy III, który nie mógł zapomnieć, że Fox należał niegdyś do jego przeciwników. Ilekroć wypływało nazwisko, król wybuchł oburzeniem. Raz miał nawet powiedzieć: „Wojna domowa lepsza, niż Fox”. Zresztą wielki parlamentarzysta również serdecznie nienawidził Jerzego jako człowieka o ciasnym umyśle i despotycznych dążeniach, a przedewszystkiem jako demoralizatora życia publicznego Anglii.

CZŁOWIEK O SILNYCH NAMIETNOŚCIACH

Pelen zarówno sił umysłowych, jak fizycznych, Fox oddawał się sportom — grał w krykieta, w tenisa, pływał i polował. Ale najsilniejszą jego namietnością był hazard. Trzymał trzydzieści koni wyścigowych i noce spędzał przy zielonym stoliku, po którym przewalały się olbrzymie sumy. Obliczono, że do 25-ego roku życia zmarnotrawił ćwierć miliona funtów szterlingów (tj. wedle dzisiejszej wartości milion — 26 milionów złotych).

Podziwiano wytrzymałość Foxa jego niewyczerpaną energję. Zdarzyło się raz, że grał w faraona przez 22 godziny — od 7 wieczorem we wtorek do 5-ej popołudniu we środę. W czwartek spędził dzień w Izbie Gmin, wygłosił świetną mowę w jakiejś kwestji kościelnej i wyszedł po głosowaniu. Od 11-ej w nocy do 7-ej rano pił z przyja-

ciółmi w kawiarni White'a, poczem udał się do Almacka, gdzie poprzedniego dnia przegrał był 11.000 funtów — i odbił 6 tysięcy. Trwało to do popołudnia, a wstawszy od gry, pojechał do Newmarket na wyścigi.

W okresach jednak, w których Fox zasiadał w rządzie, nie brał kart do ręki. Poza tym z oburzeniem zastrzegał się przeciw aluzjom do swego prywatnego życia, a wiadano o tem, że pojedynkował się kilkakrotnie i strzelał znokamicie.

Zresztą ludzie go przeważnie lubili. Wielki historyk Gibbon (który zresztą miał intratną synekurę rządową i zasiadał pośród królewskiej większości) składa mu hold w następujących słowach: „Chyba nie było nigdy istoty ludzkiej, również wolnej od wszelkiego cienia złośliwości, próżności i fałszu”. Inny ze współczesnych mówi, że Fox „cały był z ognia, prostoty i łagodnego usposobienia”.

Nie dbał o ubranie i niewyspany, człowiek fen wywierał na otoczenie wpływ magiczny.

MIŁOŚĆ

Mając lat 34, Fox poznał piękną i utalentowaną Mrs. Armistead. Wyjechali razem na kontynent. Wpływ kochanki był zbawienny. Fox przestał uprawiać hazard i nadużywać trunków. Lubił wolne chwile spędzać we dwoje, w willi, koło Chertrey. Po dwunastu latach wziął ślub z Mrs. Armistead, ale jeszcze przez siedem lat trzymał to w tajemnicy. Nie chciał się przyznać, że ustąpił opinii publicznej, którą stale lubił wyzywać. Ostatecznie jednak, na kilka lat przed śmiercią ogłosił swe małżeństwo. Umarł na rękach żony.

W. T.

„Plankton” powietrzny

Dotychczas jeszcze utrzymywało się mniemanie, że począwszy od wysokości kilkuset metrów atmosfera kuli ziemskiej wygląda jak zupełna pustynia, w której napróżno szukalibyśmy śladów jakiegos życia.

Poglądy te uległy w ostatnich latach gruntownej zmianie, a to dzięki samolotom. Pierwsze próby w tym kierunku podjęli lotnicy amerykańscy, którzy urządzali formalne „polowania na owady” na wysokości 1000 do 2000 metrów. Posługiwali się do tego celu specjalnymi urządzeniami, przypominającymi w zasadzie zwykłe siatki na motyle, dające się automatycznie otwierać i zamykać.

„Polowania” te dały bardzo interesujące wyniki. Pokazało się, że na wysokości 1.500 do 2.000 metrów, a nawet i wyżej unosi się w powietrzu cała masa drobnych owadów (długości 3—5 milimetrów). Są to wszystkie owady posiadające słabe lub mało rozwinięte skrzydła, skutkiem czego łatwo mogą być porwane i uniesione w górę przez wiatry lub prądy ciepłego powietrza.

Skoro dostaną się na pewną wysokość, pozostają poprostu „zawieszane” w powietrzu, tworząc coś podobnego, jak „plankton”, złożony z mikroskopijnych żyjątek, a stanowiący integralny składnik wód morskich i lądowych.

Ten „plankton” powietrzny może być oczywiście uniesiony wiatrem na znaczne nawet odległości. Dlatego też badania na tem polu interesują zarówno zoologów, jak i biologów i geografów i mogą rzucić ciekawe światło na rozmieszczenie rozmaitych gatunków owadów na kuli ziemskiej.

Wyniki dotychczasowych badań nasuwają też przypuszczenie, że również i rozmaite mikroorganizmy i bakterje chobotwórcze wchodzi w skład tego „planktonu powietrznego” i mogą tą drogą odbywać dalekie podróże.

(kr.)

Bernard Shaw i aktorzy

FIZYCZNA NIEŚMIERTELNOŚĆ SHAWA

Byłem przed paru laty w Londynie na jednej ze sławnych rewij Cochran'a i utkwił mi w pamięci następujący epizod:

Rzecz dzieje się kiedyś około r. 1960 w sławnym panoptikum Madame Tussaud na Baker Street. Jakaś rodzina, przybyła czy to z prowincji, czy z jednego z dominjów czy z Ameryki, zwiedza ten popularny przybytek. Panienka zbliża się do woskowej lalki naturalnej wielkości — jak wszystkie figury u pani Tussaud — chudej, z siwą brodą i zastygłym na twarzy mefistofelicznym uśmiechem. „Kiedy też Bernard Shaw umarł?” W tej chwili lalka zrywa się z krzesła z oburzeniem: „Co takiego? Jak pani śmie? Ja żyję”.

Siedemdziesiąt ośm lat komedjopisarza (wówczas było jeszcze mniej) nie stanowi bynajmniej rekordu w takim kraju ludzi długowiecznych, jak Anglia. A przecie fakt, że Shaw wciąż jeszcze żyje, stał się już powszechnie powtarzanym żartem (stanowczo w złym stylu). W gruncie rzeczy nie o życie tu idzie, lecz o żywotność, o pozowanie na młodość, o ciągle narzucanie się uwadze ogółu, o przechwalanie się świeżością umysłu, o częste podróże, o popisy pływackie i o wzmogoną nawet w ostatnich latach twórczość.

Z tem wszystkim Shaw myśli czasem o śmierci. Już w r. 1920 westchnął w jednej ze swych przedmów „Niewie- w mej lampie pozostało oliwy”, a le w mej lampie pozostało oliwy”, a obecnie czyni to, co zwykle czynią sławni pisarze, gdy myśl o zgonie zacznie im się przedstawiać realnie. Na długo przed ostatnią, wcale groźną chorobą przystąpił do zbiorowego wydania swych dzieł (Uniform Edition, Gollaner i Cresset Press).

Obok utworów dramatycznych znalazły tu miejsce młodzieńcze powieści, recenzje teatralne, muzyczne i literackie, szkice o różnych wybitnych ludziach współczesnych itp. Zamiast tedy szperać po czasopiśmie wystarczy teraz sięgnąć na półkę lub zamówić potrzebny tom w bibliotece publicznej.

STARE PORACHUNKI

Najciekawsze może jest to, co Shaw pisze o wielkich aktorach. Przez lat czterdzieści kierował przedstawieniami i tworzył role z myślą o wykonawcach, nieraz wprost dla wykonawców. Korespondował nadto przez czas dłuższy z dwiema sławnymi artystkami — i listy te są obecnie dostępne w druku. Wogóle trudno sobie wyobrazić człowieka, któryby, nie będąc sam aktorem, reżyserem, ani innym funkcjonariuszem teatralnym, pozostawał z nim w bliższym kontakcie i równie dokładnie znał wszelkie warunki i tajniki sceny.

A jednak... A jednak Shaw w charakterystyce dwóch największych aktorów angielskich ostatnich lat pięćdziesięciu nie jest zupełnie obiektywny. Dużo ironizuje i — zapewne nie zdając sobie z tego sprawy — załatwia stare porachunki. Tkwią mu bowiem jeszcze w pamięci różne krótkie spięcia na próbach. Jest nadto zdania, że dla klasycznego repertuaru, a więc dla popisowych tradycyjnych ról, w których możliwa było współzawodniczyć ze sławną Garricką czy Keana, zaniedbywana współczesna twórczość dramatycz-

na, przede wszystkim jego własna — a na tym punkcie był zawsze niezmiernie czuły.

IRVING I ELLEN TERRY

Gdyby Irving i Beerbohm Tree odpowiadali portretom Shaw'a, nie byłiby z pewnością zdobyli sławy, jaka stała się ich udziałem.

Wedle Shaw'a Henryk Iving

...nie zrobił dla żywego dramatu nic, a srodze kaleczył to, co zostało z dogorywającego (!) Szekspira; natomiast wygrał przez całe życie trwającą walkę o to, aby aktora uznano za równego innym artystom.

Jak wiadomo, Irving pierwszy z aktorów angielskich otrzymał tytuł Sir, który np. malarzom nadawano już w XVIII w. — nie mówiąc już o tem że w XIX w. poeta i historyk zostali lordami.

Zaprawdę bardzo dwuznaczna pochwała! Naprzód dotyczy rzeczy ubocznej. Równie dobrze można by za główną zasługę Szekspira uznać, że uzyskał dyplom szlachecki. Co więcej, kryje się tu zarzut snobizmu.

A Shaw dodaje i szereg innych zarzutów, dotyczących już samej sztuki aktorskiej Irvinga, mówiąc, że traktował on role całkiem dowolnie, że miał głos lichej i z tego powodu musiał mówić przez nos i bardzo powoli, co nawet odbiło się na jego naśladowcach. Przy Irvingu, Ellen Terry marnowała się w życiu rodzinnym, pochłaniającem czas, który można było lepiej zużytkować, a na scenie zgrywała się w klasycznych rolach mimo, że jej zdolności odpowiadały raczej sztuce realistycznej, współczesnej.

Bardziej rycerski dla dam, Shaw mówi o wyjątkowej i w swoim rodzaju jedynej piękności tej artystki, odsyłając czytelnika do jej sławnego portretu w roli Lady Makbet. Mieli w niej kochać się wszyscy, którzy się z nią stykali, — zresztą, jak Shaw dodaje szlachetnie, bez wzajemności. I on na leżał do tego zastępu. Nawiasem mówiąc, korespondencja świadczy raczej o przyjaźni i o intelektualnym flirtcie.

BEERBOHM TREE JAKO RYSZARD II.

Beerbohm Tree odziedziczył po Irvingu tradycję tworzenia ról zamiast ich wykonywania. W Szekspirze największe triumfy — z jedynym wyjątkiem kardynała Wolsey w „Henryku VIII” (tylko częściowo autentycznym — tylko tam „gdzie nie Szekspir, ale on, Beerbohm Tree, był autorem”).

W „Ryszardzie II” jest mowa o wspólnym wjeździe zdezonizowanego monarchy i uzurpatora Bolingbroke'a do Londynu. Słyszmy, że ludność znieważała Ryszarda, a witała entuzjastycznie Bolingbroke'a, pod którym nawet ulubiony koń królewski stapał tak, jakby był dumny ze swego ciężaru. W komentarzach można wyczytać, że opowiadanie powstało pod wpływem wzmianki kronikarza o tem, że chart faworyt Ryszarda, zaczął się w obecności pana łasiczki uzurpatorowi.

Otóż Tree wprowadził do tragedii obie sceny, a więc i odpowiednio wretrowanego psa i ogromnego białego rumaka. Były to najszcześniejsze momenty przedstawienia. Natomiast słynna tyraada liryczna III. aktu na temat niestałości szczęścia królów i gotowości Ryszarda na śmierć, stanowiąca zazwyczaj cło jego roli, wypadła tak marnie, że jeden z krytyków teatralnych posłał Shaw'owi do jego łoża kartkę ze słowami: „Jeżeli pan wsta-

nie i postawi wotum nieufności, to ja się przyłączę”.

Tree kochał muzykę słowa, ale będąc z pochodzenia Holendrem, nie wy-czuwał jej w angielskim białym wierszu. Jego mocną stroną były mimika i gestykulacja. Dla efektów tego rodzaju poświęcał wszystko. Role były jego awatarami (wcielaniem) autor

...mniejsza o to, czy Szekspir czy Shaw, był dla niego kulawym psem, któremu pomysłowość i wynalazczość kierującego przedstawieniem artysty musi pomóc do przedostania się przez przelaz w płocie.

PIĘCIU MALWOLJÓW

Gdy Beerbohm Tree grał Malwojia w „Wieczorze Trzech Króli”, ubrał czterech chłopców w takie same, jak własny, kostiumy i kazał im sobie towarzyszyć, naśladować dokładnie każdy ruch i każdą minę. Tym sposobem napuszonemu majordomowi sekundowało czterech małych majordomów.

Umieścił w głębi sceny ogromne schody i gdy po nich wchodził z wielkimi namaszczaniem i przesadą, potknął się przypadkowo i usiadł. Niezmieszany, sięgnął po szkła i zaczął z śmiechem uroczystą miną rozglądać się po scenie. Publiczność wzięła to za przygotowany efekt i gorąco oklaskiwała.

ZŁOWROGIE PANTOFLE

Jako kierownik teatru Beerbohm Tree był zawsze otoczony dworem darmozjadów o nieokreślonych funkcjach lub bez żadnych funkcji, którym płacił pensje. Dla autorów był nieznośny i nikt z nim nie mógł dojść do ładu, gdyż cudzych pomysłów nie uznawał.

W „Pigmalionie” Shaw'a jest scena, ilustrująca stosunek między fonetykiem Higginsem (skopjowanym — wbrew zaprzenieniom autora — z profesora Henryka Sweeta) z kwaciarką, którą ten nauczył wykwiłtnej wymowy i manier. Higgins zatrzymuje ją w domu i traktuje, jak służącą, zapominając, że podniosła ją do swojej sfery i że Liza oczekuje czego innego. Gdy każe sobie podać pantofle, dziewczyna rzuca mu je na głowę. Jest to przełomowy moment sztuki. Ożywiony posag zwraca się przeciw Pigmalionowi na znak, że na ludziach nie wolno robić czysto naukowych eksperymentów.

Shaw wiedział, że grająca Lizę Mrs. Patrick Campbell (druga jego niby-flamma) jest „bardzo zrecona, bardzo silna i strzela niezawodnie”, wyszukał więc umyślnie bardzo miękkie, aksamitne pantofle. Nie pomogło. Ugodzony temi pociskami na pierwszej próbie, Beerbohm Tree zachował się tak, jakby zrobiono na niego zamach: zrobił wściekłą awanturę i aktorka od-tąd już bacznie uważała, aby nie trafić dyrektora. Scena była beznadziejnie zepsuta.

AKTOR, REŻYSER I AUTOR

Spójnijmy teraz wejść w istotę sporu między Shaw'em a aktorami, względnie reżyserami. Jest to typowy konflikt kompetencji. Utwory klasyczne pozostawiają dużo pola do inwencji. Głębokość ich dopuszcza nieraz najróżnorodniejsze interpretacje — wystarczy wymienić Hamleta. Odnaczają się nadto skąpością lub zupełnym brakiem uwag scenicznych. Ale i tu należy zachowywać miarę. Nietylko nie wolno iść przeciw wyraźnej intencji autora, ale też należy kłaść nacisk na to, co dla niego było najistotniejsze. U Szekspira były to charaktery i poezja. Stąd takie mnożenie efektów czysto wzrokowych, jakie uprawiał Beerbohm Tree, zasługuje na potępienie taksamo, jak olbrzymie widowisko bitwy morskiej, na jakie zrzuwał się amerykański dyrektor teatru, wystawiając „Antonjusza i Kleopatę”. „Stwarzanie roli”, jakie zarzuca Shaw Irvingowi, jest jeszcze mniej niebezpieczne od twórczej reżyserji Beerbohoma Tree. Na gruncie dzi-

szej Rosji, zrywającej z wszelką tradycją, doprowadziła ona do fałszywej i zgubnej teorii Meyerholda, że reżyser jest „autorem przedstawienia”, który ma prawo życia i śmierci wobec nieżyjącego pisarza dramatycznego i żyjącego aktora, zmienia dowolnie treść sztuki, wprowadza do niej nowe postaci i epizody, przekształca charaktery, operuje jakimi chce efektami i wogóle udaje Pana Boga Wszzechmogącego. A Meyerhold ma po świecie szereg naśladowców (np. w Polsce Schillera)...

Jakże teraz przedstawia się stosunek reżysera do autora w sztukach współczesnych? Niepodobna zaprzeczyć, że pierwszy odegrał nieraz rolę zbawcy, ratując swą zręcznością utwór, który byłby padł na premierze. Z drugiej strony bywają i wypadki odwrotne. Należałoby wprowadzić zasadę: Im większa wartość sztuki, tem większe prawa autora do rozstrzygnięcia o sposobie gry, wystawienia itd. Ale czy tę wartość zawsze można ustalić. Autor zawsze jest skłonny do przeceniania własnego utworu, reżyser niezawsze pozna się na arcydziele, o ile napisał je początkujący... Można tylko wyrazić życzenie, aby wszyscy zainteresowani tj. autor, reżyser, aktor i dekorator starali się zgodnie współdziałać, a do tego jedyną drogą jest dobra wola, polegająca na tem, że obok własnego rozważa się także inne punkty widzenia.

W praktyce rzadko to się zdarza. Shaw przytacza jeden historyczny przykład — teatru mołjerowskiego, gdzie dyrektor, reżyser, aktor i autor byli jedną i tą samą osobą. Coś podobnego było może i w teatrze szekspirowskim, ale o tym za mało nam wiadomo.

Shaw jest zresztą w swych ogólnych poglądach dość liberalny. Każdą rolę można grać jak najrozmaiciej i każdy aktor ma własne metody. Naprawdę autor mówi mu: „Graj tak, jak napisałem”. Niema rady, trzeba mu pozwolić grać tak, jak umie. W przeciwnym razie może to wyjść na zle i roli i sztuce... Beerbohm Tree nie grał prawdziwego Szekspira, ale zawsze bawił publiczność.

Możemy schylić czoło przed doświadczeniem Shaw'a, gdy omawia on zagadnienia teatralne. Jest w tym wypadku starym praktykiem i logicznym myślicielem. Gdy rysuje sylwetki ludzi jest satyrykiem, wydoływającym na wierzech to, co nadaje się do wytknięcia, potępienia i ośmieszenia. Rysy dodatnie pomniejsza, czasem wypacza, czasem poprostu pomija. Zawsze zbiera wzorki do komedji.

DON KISZOT NA PICCADILLY

Najlepszym dowodem jeszcze jedna historia, którą opowiada o Beerbohmu Tree.

Rozmawiano raz w liczniejszym towarzystwie artystów i literatów o „Don Kiszocie”, zastanawiając się, czy też bohater Cervantesa powiedział o naszej cywilizacji. Nagle zabrał głos Beerbohm Tree. Jego plastyczna wyobraźnia stworzyła odrazu obraz ze sztuki na poruszony temat. Otwiera się głab sceny, na Piccadilly pośród aut i autobusów, na tle świetlnych reklam ukazuje się Don Kiszot na Rosynancie, w pełnej zbroi rycerskiej. „Odpowiadałaby mi ta rola”.

Tu wtracił się Shaw: „A za Don Kiszotem jedzie na osiołku Sanszo Pansa”.

— Prawda, zapomniałem o Sanszo Pansie — odparł sławny aktor, — to także doskonala rola. Mogłbym grać naprzemian Don Kiszot i Sanszo Pansę

Shaw pochwylił tu ochoczący wszystkich aktorów głód ról — spotkał się bezwiednie z Szekspirem, którego Spodek radby grać wszystkie osoby w sztuce o Piramie i Tysbie.

Władysław Tarnawski.

Władysław Lam

Twórczość Władysława Lama, choć opiera się na tych samych zasadach, które w pewnym okresie stanowią podstawę ogólnego rozwoju artystycznego w Polsce, zachowuje jednak piętno odrębnej indywidualności. Malarstwo Lama niema w sobie nic z gorączkowej gonitwy za modernizmem, cechuje je powaga i spokój, które pozwalają na logiczne kształtowanie się własnych pojęć. Zmiany, dokonujące się w rozwoju Lama, wypływają rzeczywiście z pełnego przewartościowania pewnych zasad łącznie z odmienną postawą artysty wobec rzeczywistości.

Temniemniej związek Lama z aktualnymi dążeniami artystycznymi jest bardzo silny i do poznania twórczości jego koniecznym jest uwzględnienie stosunku artysty do problemów nowoczesnego malarstwa.

Władysław Lam należy już do tej generacji artystów, która nie musiała przezycieć tradycji malarstwa XIX w. jak i też stała już zdala od impresjonizmu. Lam znalazł się natomiast w kręgu sztuki Wyspiańskiego, gdy w latach 1911 — 1914 studjuje w Akademii Krakowskiej. Wpływ Wyspiańskiego jest zrazu decydujący. Lam przejmując jego linię ekspresyjną, obiera podobne problemy. Portret wykonany węglem lub pastelem staje się w tym czasie głównym przedmiotem zainteresowań artysty, który osiąga wprawdzie poważny poziom swych prac, nie zdradza jednak niczym odrębnych dążeń.

W rozwoju artysty następuje dłuższa kilkuletnia przerwa, spowodowana wojną, która zmusiła Lama do służby wojennej.

Gdy artysta wraca do sztuki, opiera się już na odmiennych podstawach. Władysław Lam w tem studium swej twórczości jest kubistą. **Martwa natura** (obr. ol. 1922) świadczy o pełni dojrzałości artysty, jak i o kompletnym opanowaniu tajników malarstwa nowoczesnego. Kubizm Lama nie łączy się jak u Picasso z dążeniami do dematerializacji form zjawiskowych, zbliża się on raczej do sztuki rdzennie francuskiej (Braque), która nawet w kubizmie nie zatracala związku z rzeczywistością.

Lam jednak nie przyjmuje tych dążeń biernie od Braque'a, nawiązuje on raczej do Cezanne'a, a więc do tego, od którego wszczynają się całe nowoczesne malarstwo. Szczęśliwie jednak oddala się Lam od malarstwa poczynowskiego, opierając zdecydowanie płaszczyznami, które stają się wyłącznymi elementami formalnymi jego kompozycji. Odpowiedni układ tych płaszczyzn oddaje trójwymiarowość przedmiotów z zupełnym zatraceniem perspektywy linearnej, zgodnie z zasadami kubizmu. W konstrukcji całości zaznacza się niezwykła zwieźłość i przejrzystość.

To przez kubizm dotarł Lam do neoklasycyzmu. Nie stało się to od razu lecz obserwowujemy w szeregu jego dzieł powolne przełamywanie się nowych dążeń. Przemiana ta opiera się na ścisłym związku artysty z rzeczywistością, jak i też na zdecydowanej tendencji ujęcia jej w pewne określone formy, w czym konstrukcja staje się w sztuce Lama nieodzowna.

Władysław Lam należy do tych rzadkich organizacji artystycznych, które starają się uświadomić sobie podstawy swej twórczości. To też myśli jego, ogłoszone w dziele — **Rozważania o sztuce** (Poznań 1927) — pozostają w związku

z jego malarstwem i ułatwiają ustalenie zasad jego sztuki.

Artysta przyjmuje więc jako zasady powszechnie obowiązujące: „celowość układu kompozycyjnego, podporządkowanie poszczególnych elementów myśli przewodniej, logiczna budowa, rytm harmonijny, jedność stylu, dynamika wyrazu“.

Wszystkie wymienione elementy znajdują się w malarstwie Lama w latach 1923—1925, które nosi na sobie wyraźne piętno neoklasycyzmu. O zdecydowanej postawie artysty wobec problemów malarstwa nowoczesnego świadczą słowa jego, zawarte również w cytowanym powyżej dziele. „Współczesność dzisiejszej plastyki polega na 1) konstrukcji kompozycji, przyczem pozorną naturalność nie stanowi nieprzekraczalnej granicy; 2) korzystaniu z doświadczeń kolorystycznych impresjonizmu, a nawet dozwolność barw względnie harmonijnych; 3) wystarczalności każdego tematu; 4) uznawaniu ekonomii środków i upraszczaniu; 5) dążeniu do nadania jak najróżnorodniejszej dynamiki fakturze; 6) wprowadzeniu momentów irracjonalnych, o ile potęgują wyraz“.

W tych rozważaniach artysty tkwią już możliwości dalszego rozwoju. Przewidywaliśmy jednak należałoby skonfrontować światopogląd artysty z ówczesnym jego dorobkiem malarskim. Duża kompozycja „**Sen**“ (obr. ol. 1923) charakteryzuje najlepiej dążenia artysty z tego okresu twórczości. Określoność kształtu, linia, jako główny element formalny, zwartość kompozycji, której poszczególne człony konstrukcyjne są w zupełności podporządkowane, wykazują związek twórczości malarskiej Lama z jego światopoglądem artystycznym. Logika konstrukcji nie prowadzi w dziełach Lama do oschłości dzięki charakterowi linii, która posiada wiele płynności i fałszywości rytmu, jak i też przez oparcie całej kompozycji o rytm.

Określoność kształtu, logika konstrukcji i rytmika sprawiają, że obrazy Lama z tego okresu należą od najbardziej reprezentatywnych dzieł nowoczesnego malarstwa polskiego. Charakterem swym zbliżają się do dążeń, które znalazły pełny wyraz w dziełach artystów, zrzeszonych w grupie „Rytm“.

W drugim stadium twórczości Lama powstaje szereg kompozycji figuralnych o wielkiej różnorodności pomysłów. Konstrukcja i linearność są głównymi elementami jego sztuki, a barwa staje się jedynie czynnikiem dopełniającym.

Mimo pewnych, dalekich zresztą reminiscencji sztuki quattrocenta włoskiego w układzie członów (Madonna) lub też malarstwa Cezanne'a w ustosunkowaniu poszczególnych postaci, posiada twórczość Lama piętno dużej oryginalności. Poza to łączy on zagadnienia formalne z rzeczowością ujęcia, przez co niektóre z jego dzieł, jak np. **Przy oknie** stanowią zupełnie wyjątkową pozycję w malarstwie polskim, które odpowiadałoby do pewnego stopnia „nowej rzeczowości“ (Neue Sachlichkeit) sztuki niemieckiej.

Zachowuje jednak obraz Lama nie tylko pod względem formalnym niezależność, są w nim ponadto pewne pierwiastki psychiczne, o odrębnej wartości. Już w **Madonnie** spotykamy pogłębienie psychiczne, a w obrazie **Przy Oknie** stroną emocjonalną staje się dominantą obrazu. Pojawia się tedy w twórczości Lama wzmoczenie pierwiastków uczuciowych, tak jednak, że równowaga z formą zostaje zachowaną.

Artystę zaczyna interesować jako motyw **Don Kiszot** i to nie tylko w większych kompozycjach, ale sama głowa, co w rezultacie daje oryginalną jej interpretację.

Akcenty uczuciowe w twórczości Lama nie są radosne, są one niejako przejawem jakiegoś smętku czy zastanowienia w głębszym podkładzie. Przez czas pewien przyłącza się do jego kompozycji nawet większych pewien odcień melancholji i smutku. Najbardziej wybuchają jednak w **portrecie Jaracza**, w roli Siewskiego z „**Uśmiechu Losu**“ Perzyńskiego. Jest to bezsprzecznie najlepszy portret, który wydała sztuka polska w ostatnich czasach. Oparcie o formę zjawiskową, ograniczenie się do cech najbardziej istotnych i równoczesne podkreślenie ich realizmu daje dzieło o niezwykłej sugestyjności. Lam stworzył w portrecie Jaracza symbol o wartości ogólnoludzkiej.

Nigdy jednak nie jest Lam doktrynerem, związek jego z rzeczywistością jest

tak silny, że dozwala na swobodny rozwój jego twórczości. Temu też przypisać należy, że artysta nie zmanjerował się, co niestety spotkało wielu trwających uporczywie przy oschłości konstrukcji i linearyzmu.

Zrazu wszczynają się u artysty zainteresowanie stroną fakturalną obrazu i zagadnieniem kolorystycznym, co w okresie jego neoklasycyzmu zupełnie zanikło. Zmiana ta dokonała się poniekąd pod wpływem malarstwa paryskiego, ale zaznacza się również wyraźnie w światopoglądzie artysty, jak świadczą o tem powyżej już cytowane słowa. Zwrot w sztuce Lama występuje z wolna, łączy on czas jakiś dążenia konstruktywne z problemem kolorystycznym i wprowadza urozmaicenie faktury. Świadczy o tem szereg krajobrazów Lama z Francji, zwłaszcza z Cagnes.

Wreszcie zwycięża w malarstwie Lama prawda życia i wprowadza w latach 1929—30 silny zwrot do natury. Problem kolorystyczny staje się głównym zainteresowaniem artysty. Okres ten twórczości Lama posiada doniosłe znaczenie. Obrazy jak **W Straganie**, **Spuszczanie wina**, **Herbaciarka**, **Pstragi**, przywodzą na myśl naturalizm flamandów, lecz w ujęciu motywów pozostaje Lam nawskróś nowoczesnym. O ile w poprzednich fazach rozwojowych opierał konstrukcję o zespół linii i członów, obecnie zajmuje go układ zespołów barwnych, a przez nasilenie i nasycenie tonów zyskuje zamierzane efekty.

Ta wyłączna koncentracja nad zagadnieniem barwy doprowadziła do ponownej zmiany dążeń artysty, co wynika jednak z logicznego rozwoju. Związek z rzeczywistością słabnie, artysta wprowadza wszelkie zdobycze impresjonizmu, a raczej postimpresjonizmu dla oddania barwnej jawy świata rzeczywistego. Omówione dążenia charakteryzują aktualne stadium rozwoju Lama.

Już ta ogólna charakterystyka twórczości Lama i zaznaczenie rozwoju jego sztuki wskazuje jak niezwykle bogata jest indywidualność tego artysty, który zajmuje w nowszej sztuce polskiej pozycję nader doniosłą.

Obraz twórczości jego nie byłby pełnym, gdyby nie wspomnąć przynajmniej jego drzeworytów, które na tle współczesnej grafiki polskiej zarysowują się ze specjalną siłą. Jako drzeworytnik zasługuje Władysław Lam na obszerniejsze studium.

Helena Blumówna.

„Autogire“ i jego zastosowanie

Przyłot ppłk. B. Stachonia z Anglii do Warszawy na nowym typie samolotu, zwanym „autogire“ (spolszczone niezbyt fortunnie na „autożyro“) zwrócił uwagę ogółu na ten wynalazek mający już szerokie zastosowanie w lotnictwie zachodnich państw europejskich oraz w Ameryce.

„Autogire“ skonstruował poraz pierwszy inżynier hiszpański Juan de La Cierva w roku 1920. Przedstawił on w swej konstrukcji rodzaj samolotu ówczesnego typu, z tą jednak różnicą, że pozbawiony był skrzydeł, natomiast zaopatrzone był u góry w rotor, tj. w system czterech śmig, obracających się dokoła pionowej osi. Pierwsze próby wypadły nieszczęśliwie: „autogire“ albo nie chciały wogóle latać, albo ulegały katastrofie.

Niezrażony niepowodzeniami de La Cierva pracuje dalej i już w roku 1923 odbywa pierwszy udany lot. Od tego czasu „autogire“ ulega stopniowym ulepszeniom. W Anglii i w Ameryce powstają specjalne towarzystwa dla wyrobu tych maszyn aż wreszcie w roku 1933 powstaje typ C. 30 A. i roz-

poczyna się systematyczny, fabryczny wyrób samolotów tego typu.

„Autogire“ w swej obecnej formie posiada kadłub dwuosobowy, silnie wysunięte do przodu podwozie ogon, silnik o mocy 140 HP., oraz rotor złożony z trzech śmig. Uruchomienie rotora następuje jeszcze na ziemi zapomocą mechanicznego rozrusznika połączonego z motorem.

Z chwilą wzniesienia się w górę „autogire“ utrzymuje się w powietrzu dzięki obracającemu się rotorowi, który spełnia tu rolę skrzydeł normalnego samolotu.

Ruch ten jednak nie ma żadnego wpływu na szybkość lotu „autogira“ w linii poziomej, — do czego służy normalne śmigło, pracujące jak w zwykłym samolocie, z wprawianym w ruch przez silnik.

Ważną rzeczą jest, iż śmigła rotora dają się łatwo składać wzdłuż kadłuba, bez rozmontowania. Dzięki temu „autogire“ jest znacznie łatwiejszym do transportu i do hangarowania, co również stanowi duże plus.

Jakie są najważniejsze zalety „autogira“? Przedewszystkiem zdolny on jest wzniesić się w górę niemal pionowo, po przebyciu zaledwie kilku czy kilkunastu metrów terenu. Z równą łatwością może lądować na bardzo ograniczonej przestrzeni (o wymiarach mniejszej kortu tenisowego).

Daje zupełne bezpieczeństwo lotu (wedle statystyki, przy przebyciu ogółem 25 milionów kilometrów drogi zanotowano zaledwie dwa wypadki). I, wreszcie pozwala dowolnie regulować szybkość lotu od 180 klm. godz. w dół, aż do kilkunastu klm. godz.

Z tych względów może być „autogire“ uważane słusznie na „samolot przyszłości“, który znajdzie jaknajszersze zastosowanie w lotnictwie cywilnym, jako pewny i tani stosunkowo środek komunikacyjny. Cena „autogira“ wynosi obecnie około 300 funtów szt., a niewątpliwie ulegnie jeszcze niższe w miarę udoskonalenia techniki i silniejszego pokupu.

Na niekorzyść „autogira“ zapisać należy jego małą stosunkowo wagę, a co za tem idzie, niemożność użytko-

wania go do znacznie szybszych transportów czy to ludzi, czy ładunku.

Ale „autogiro“ stanowi bardzo doniosły i cenny instrument również i dla celów wojskowych — zarówno dla obrony, jak ataku i służby wywiadowczej.

Przedewszystkiem może on wlatywać z każdego niemał terenu, — odpada zatem potrzeba budowania specjalnych lotnisk, stanowiących w czasie wojny specjalny cel ataków samolotów nieprzyjacielskich. Toż samo dotyczy i lądowania: podczas, gdy nowoczesny samolot myśliwski potrzebuje około 300 metrów terenu (odkrytego i płaskiego), „autogire“ potrzebuje na to zaledwie 12—15 mterów.

Dalszą wielką zaletą autogira jest możliwość latania na niewielkiej wysokości, przy szybkości nawet 30 klm.

godz., co pozwala na robienie zdjęć fotograficznych i rekonesansów.

W terenach górzystych, trudno dostępnych, „autogire“ spełniać może z powodzeniem rolę łącznika między najdalej wysuniętymi placówkami, może przynosić szybko a pewnie meldunki i rozkazy, — może wreszcie być użyty do transportu rannych.

Jeszcze większe znaczenie posiada „autogire“ w wojnie na morzu. Eskortuje transporty wojskowe, wypatruje łodzie podwodne, przewyższając pod tym względem normalne samoloty, które — przy swej szybkości 130—150 klm godz. — zmuszone są krażyć ustawicznie dokoła okrętu, płynącego z przeciwną szybkością 40 klm. godz

Wreszcie kwestja ich transportu na morzu.

Marynarki wojenne wielkich mocarstw posiadają specjalnie skonstru-

wane „okręty - matki“, z których w razie potrzeby „wysztrela się“ niejako zapomocą olbrzymiej procy hydroplany. Te ostatnie, po spełnieniu swego zadania, wracają na okręt, wyciągane na pokład zapomocą windy. Może to jednak nastąpić tylko przy spokojnem morzu i przy znacznem zwolnieniu biegu okrętu.

Przy „autogire“ wszystko to odpada. Samolot taki może opaść na pokład nietylko „okrętu matki“, ale nawet zwykłego dużego okrętu wojennego, — a po złożeniu ruchomych śmig zajmuje on bezporównania mniej miejsca, niż normalny samolot.

Toteż „autogire“ już obecnie znajduje szerokie zastosowanie w lotnictwie wojskowem Anglii Francji i Ameryki, — a próby przeprowadzane na manewrach wykazały, że może on i powinien znaleźć bardzo rozległe zastosowanie (kr.)

— Niech wejdzie.
Po chwili usłyszał za sobą kroki i brzęk ostróg.

— Cóż tam nowego? — zapytał po francusku, nie odwracając się.

— Dowiedziałem się poufnie — raportował generał Pauluzzi — że dzisiejszej nocy wyjsz ma z miasta kilkuset młodych ludzi, znajdujących się na naszej liście poborowych...

Margrabia odwrócił się gwałtownie: — Czyż to możliwe?

— Mam całkiem pewne wiadomości... Sądze, że należałoby zamknąć wyjścia z miasta.

— Ha! Dezerterzy!

Dużymi krokami zaczął chodzić po pokoju, nie zwracając zupełnie uwagi na obecność generała Pauluzziego. Gniew w nim kipiał. Urywane słowa bez związku i przekleństwa polsko-francusko - rosyjskie padały z ust jego bezładnie.

Nagle błysk jakiejś niespodziewanej decyzji zaświtał w jego myśli. Uspokoił się natychmiast i w oczach jego zamilknął uśmiech szyderyczy uśmiech szatański...

— Sami chcą tego — zwrócił się do generała Pauluzziego — Kto wiatr sieje, ten burzę zbiera... Bardzo dobrze, niech sobie idą.

— Nie rozumiem, Margrabio!

— Ha! ha! ha! A to przecież bardzo proste. Wrzód rozetniemy dopiero wówczas, gdy dostatecznie zbierze... W jednym potrzasku złapiemy wszystkie niebezpieczne ptaszki, które się same dobrowolnie, do niego zlecają... Słyszysz pan? Same dobrowolnie! Jednym zamachem zdusimy cały bunt! Rozumiesz mnie teraz, generale? Raz jeszcze powtarzam: Nie przeszkadzać! Niech sobie idą...

Tej samej nocy, kilkuset młodych ludzi, znajdujących się na liście poborowych opuściło potajemnie Warszawę i schroniło się w okolicznych lasach. Wojska rosyjskie nie zatrzymały nikogo.

Tak rozpoczęło się powstanie styczniowe...

Henryk Lubieński

Margrabia Wielopolski

Nad Warszawą zapadała ciemna, mroźna noc. Owa pamiętna noc wybuchu powstania styczniowego.

Późna już była godzina, gdy z gabinetu Margrabiego Wielopolskiego wychodzili kolejno: gubernator Warszawy Krzyżanowski, poseł przy rządzie belgijskim Orłow i generał Pauluzzi. Lekkiem, nieznacznym kiwnięciem głowy żegnał ich Wielopolski, stojąc za biurkiem, wyprostowany, zimny, dumny i nieprzystępny.

Gdy drzwi się zamknęły za ostatnim, kamienne rysy jego twarzy skrzywiły się grymasem gniewu. Usiadł ciężko na fotelu za biurkiem. Zaciśniętą pięścią uderzył gniewnie w plik akt.

Znowu spotkał się z opozycją! Poseł Orłow ośmielił się nazwać projekt branki wojskowej wysoce niebezpiecznym, grożącym zakłóceniami wewnątrz i zewnątrz! Na zagraniczną opinię publiczną się powoływał, artykuły „Daily Telegraphu“ przytaczał... Rzekł mu na to: —

— Branka wojskowa jest w obecnej chwili konieczna. Wrzód rewolucyjny zebrał i trzeba go przeciąć...

Zaś Orłow odparł zgrzyliwie:

— Czyż lancet twój, margrabio, jest dostatecznie ostry na przecięcie tego... wrzodu?

Cichą opozycję zaznaczył gubernator Krzyżanowski, dyplomatycznie milczał sprytny Pauluzzi, przez czas dłuższy niezdecydowany był sam Wielki Książę Konstanty...

A jednak i tym razem wolę swą przeprowadził! Przyspieszony pobór wojskowy został uchwalony i częściowo już przeprowadzony. Znowu odniósł triumf! Lecz walka go rozdrażniła, opozycja przepelniła żółcią. Zmęczony się czuł tą walką na dwa fronty prowadzoną.

Nie szczenił mu los upokorzeń... Oto snuły się teraz gorzkie wspomnienia:

Namiestnik Suchozanet... Ciągłe intrygi przeciw niemu zawistnego namiestnika, ustawiczne kopanie dołków w Petersburgu. Pewnego dnia przychodzi doń ten carski sluga zjadliwie uśmiechnięty, zapewnia fałszywie o swej przyjaźni, a w trakcie rozmowy telegram od cara pokazuje i głośno go odczytuje:

„Przekonałem się w zupełności, że Wielopolskiego niepodobna zachować w Warszawie... Ogłoś mu mój rozkaz, ażeby tu natychmiast przyjeżdżał. Jeżeli ośmieli się nie usłuchać, to każ go aresztować w Cytadeli i donieś mnie o tem“.

On, margrabia Wielopolski, miałby być aresztowany przez rosyjskiego generała! On, pan z panów, w Cytadeli osadzony!

On, który niegdyś, przed laty, w liście otwartym do księcia Metternicha pisał: „Polska szlachta powinna pójść raczej z Rosją na czele młodej, potężnej i pełnej przyszłości cywilizacji słowiańskiej, aniżeli wlec się haniebnie za cywilizacją Europy“...

On, który wierzył poza własnym rozumem tylko w siłę rządu rosyjskiego, który na wierze tej oparł całe życie swoje!

A potem inne, stokroć boleśniejsze wspomnienie:

Po dłuższem wahaniu i walce wewnętrznej, uległ namowom i zdecydował się pojednać z największym przeciwnikiem swoim, Andrzejem Zamoyckim. I gdy na licznej zebraniu na Zamku, przystąpił doń pierwszy i rękę do zgody wyciągnął, ten faworyt Warszawy, bożyszcze tłumu, tak lubiany przez naród, jak on sam był znienawidzony, odwrócił się w milczeniu i wyciągniętej dłoni nie przyjął... Ośmielił się pogardzić nim, który trząsł już wówczas krajem całym!

Nie zapominał mu tej obelgi nigdy. Znenawidził go całą siłą swej bezgranicznie mściwej i zawistnej duszy.

Wszystkim, którzy ośmielił się na najznieńawidził i zemstę zaprzysiął lżejszą krytykę jego rządów. Bez względu na walkę wypowiedział jawnej i tajnej opozycji. Coraz szersze zata-

czała kręgi ta walka, aż został się sam, opuszczony odosobniony kordonem nienawiści i wzgardy, odłączony od społeczeństwa...

Samotny i odosobniony, lecz silny nienawiścią swoją i wielką pychą.

Odegnął margrabia precz widma przeszłości. Powstał ciężko z fotelu i przez okno spojrział. Cały Plac Saski zajęty był przez piechotę pułków gwardyjskich, ściągniętych do Warszawy na pobór wojskowy i koczujących obecnie pod gołym niebem. Światelka ognisk rzuciły w noc ciemną krwawe blaski.

Uśmiechnął się margrabia zjadliwie i szyderyczo. Cisnęły się na usta słowa: — Pokażę wam, że z Wielopolskim igrać nie można! Zgniotę was i do stóp swych rzucę...

Lekkie pukanie odezwowało się u drzwi.

— Wejść — krzyknął. Na progu stanął nieśmiało osobisty jego sekretarz.

Czego? — zapytał Margrabia. — Generał Pauluzzi w ważnej sprawie...

Jemiola - święta roślina Druidów

Z zachodu przyszła do nas i przyjmując się coraz bardziej moda wieszania w okresie Świąt Bożego Narodzenia i Nowego Roku u sufitu gałązki jemioli. Dziwaczna ta roślina, odbijająca soczystą zielenią swych liści od czarnych i zupełnie nagich konarów drzew w porze zimowej, — uchodzi za symbol szczęścia. A znany jest zwyczaj, przestrzegany szczególnie w Anglii, iż każda para, która znajdzie się pod wiszącym u sufitu krzaczkiem jemioli, może się pocałować, — z czego też w okresie świąt młodzież chętnie korzysta.

Jemiola (*Viscum album*) jest półpasorzytem roślinnym. Skoro kleiste jej nasiona przeniesione zostaną za pośrednictwem ptactwa (najczęściej drożdów) na zdrowe drzewo, — zaczynają one szybko kiełkować. Korzonek przebija korę drzewa, pod którą wypuszcza liczne odgałęzienia, — i wkrótce już roślina rozpoczyna swój żywot napój pasorzytnicy, wysysając z drzewa potrzebne soki i przerabiając je w swych wiecznie zielonych liściach. Jest to właściwie rodzaj tzw. symbiozy, bez większej szkody dla drzewa-żywiciela.

Charakterystycznym jest, że nasiona jemioli tracą zupełnie zdolność kiełkowania, jeżeli przez parę dni chociaż leżały w ciemności.

Jakkolwiek niemieccy badacze utrzymują, iż istnieje aż 37 różnych gatunków i odmian jemioli, — to jednak morfologicznie nie wykazują one żadnych prawie widzialnych różnic. Zawsze te same kępiki czy krzaczki, — zawsze na szczycie

krótkich gałązek po dwa listeczki barwy szaro-zielonej, ułożone w kształcie widełek, — zawsze jednakie owoce „jagody“ wielkości ziarenka grochu, matowo połyskujące.

Zasadnicza różnica polega tylko na tem, że jemiola wybiera sobie rozmaitych gospodarzy. Rósłnie zarówno na topoli, jak na brzoście, na lipie, sośnie, a nawet na jabłoni. Jasną tedy jest rzeczą, że rozwój jemioli zależnym jest w pierwszej linii od jakości i składu soków czerpanych przez nią z drzewa-żywiciela.

Są jednak drzewa, na których jemiola jest rzadkim, wyjątkowym prosto gościem. Do tych drzew należy przedewszystkiem: grusza i dąb. Dziwnem się to wydaje zwłaszcza w odniesieniu do gruszy, skoro w Siedmiogrodzie np. jemiola najczęściej spotyka się na jabłoniach, a więc na drzewach należących do tego samego rodzaju; co grusze.

Jeszcze bardziej zagadkową jest sprawa pasorzytowania jemioli na dębach. Już Plinusz wspomina, iż u druidów uchodziła jemiola rosnąca na dębie za roślinę świętą. Najwyższy kapłan wychodził na drzewo i złotym sierpem ścinał własnoręcznie jemiolę, którą następnie przechowywano jako świętość, używając jej tylko przy pewnych obrządkach religijnych.

Musiła zatem jemiola od niepamiętnych czasów rosnąć na dębach, a może na jakiejś specjalnej odmianie tego drzewa. Nasuwa się też przypuszczenie, że razem z jemiolą ścinał też i „święty dąb“, co w rezultacie pociągnęło za sobą niemal zupełne wytępienie tej odmiany.

Podejmowane kilkakrotnie próby przeszczipienia jemioli na dąb wypadły ujemnie: roślina kiełkuje wprawdzie, ale czasem marnieje, korzonki jej bowiem nie są zdolne przebić kory drzewa. Prawdopodobnie też i kwas garbnikowy, wchodzący w skład tkanki drzewnej, działa szkodliwie na rozwój rośliny.

Z faktów tych uczeni niemieccy wychodzą wniosek, że w zamierzonej przeszłości istnieć musiał specjalny gatunek dębów, zawierających tylko minimalny procent kwasu garbnikowego, a na których właśnie rosły obficie jemioli. Dłatego też dęby takie uważano za święte i otaczano szczególną czcią. Być może, iż z chwilą rozkrzewienia się chrześcijaństwa poczęto systematycznie niszczyć i wycinać owe „święte dęby“, pozostałości kultów pogańskich, tak że w rezultacie gatunek ów zaginął prawie doszczętnie.

Dziś wiadomo w Niemczech o jednym jedynym okazie dęba - żywiciela jemioli. Znajduje się on w pobliżu Marienburga w Prusach. Taksamo i w Szwajcarii jedyny podobny okaz znaleziono koło Winterthur. Natomiast we Francji i u nas w Polsce wypadki współżyte jemioli z dębem obserwować można częściej.

W ostatnich czasach zaczęto interesować się jemiolą z punktu widzenia lekarskiego. Pokazało się, że wyciąg z jej owoców posiada dość silne i skuteczne właściwości lecznicze w chorobach serca, obniżając tętno i ciśnienie krwi. Badania jednak w tym kierunku nie wyszły dotychczas jeszcze ze stadium początkowego.